

## **Rozmowa z prof. Bolesławem Faronem**

**Kamila Grzegorzczak, Patrycja Hyodo: Czy mógłby nam Pan Profesor opowiedzieć o Władysławie Orkanie, którego twórczością się Pan zajmował? Skąd Pana fascynacja tym młodopolskim artystą?\***

**Prof. Bolesław Faron:** Pierwszy kontakt z pisarzem, nie w pełni zresztą świadomy, zawdzięczam poecie z Nowego Sącza Tadeuszowi Giewontowi-Szczecinie. Drugi nastąpił w liceum, gdzie w nagrodę za dobre oceny otrzymałem *Wybór pism* Władysława Orkana, wydany w 1953 r., w bordowej okładce, ze wstępem profesora UJ Jana Błońskiego. Zabrałem go, jako jedyną książkę, ze sobą do Krakowa. Kiedy w 1957 r. prof. Jan Nowakowski zaproponował nam pisanie pracy magisterskiej na temat naturalizmu w Polsce, ja zasugerowałem właśnie twórczość Orkana. Było jeszcze ogniwo pośrednie: w liceum powieść Orkana pt. *Komornicy* była lekturą obowiązkową. Profesor Nowakowski moją propozycję przyjął i sformułował temat pracy magisterskiej: *Elementy naturalizmu w twórczości Władysława Orkana*. Dysertację napisałem, skończyłem studia. Zostałem zatrudniony w uczelnianej bibliotece. Zajmowałem się wypożyczaniem i opracowywaniem książek. Przez rok poznałem wszystkie działy biblioteczne, ale jednocześnie znalazłem pracę w Nowej Hucie, w internacie zasadniczej szkoły zawodowej, jako wychowawca. Tam pracowałem na trzech czwartych etatu, czyli 30 godzin tygodniowo. Pełniąc dyżur, pewnego razu otrzymałem telefon od pani Izabelli Kleszczowej, ówczesnej pracownicy Instytutu Badań Literackich, autorki bibliografii twórczości Władysława Orkana, z którą podczas pisania pracy magisterskiej się konsultowałem. Pani Izabella powiedziała: „Prof. Stanisław Pigoń zainteresował się pańską pracą, bo mu o niej powiedziałam”. Ogarnęło mnie przerażenie, gdyż prof. Pigoń w tym roku, w którym ja napisałem pracę magisterską, wydał wielką, solidną monografię *Władysław Orkan. Twórca i dzieło*, która do dziś nie ma sobie równych. Zgodnie z sugestią rozmówcy zabrałem swoją pracę magisterską i pojechałem na aleję Słowackiego, gdzie mieszkał Profesor. To był wybitny uczyony, dla nas wielki autorytet. Widywałem go czasami w Bibliotece Jagiellońskiej, jak zmierzał do czytelni profesorskiej. Był jednym z pierwszych profesorów uniwersytetu pochodzenia chłopskiego. Urodził się w Komborni na Rzeszowszczyźnie, wydał później świetną wspomnieniową książkę *Z Komborni w świat*. Miał bardzo serdeczny stosunek do młodzieży. Zawiozłem mu tę pracę, poprosił, żebym się za dwa tygodnie zgłosił. Przyjechałem ponownie do Krakowa. Profesor powiada: „Pana praca w całości do druku się nie nadaje, ale rozdział pierwszy można opublikować”. Tekst ten ukazał się

w zeszytach naukowych WSP. Profesor powiedział: „Widzę, że ma pan talent. Proponuję, by pan się uczył języków obcych, jeżeli chce pan pisać o naturalizmie, koniecznie francuskiego. Gdzie pan pracuje?” Mówię: „W Nowej Hucie, jestem wychowawcą w internacie”. I tak się skończyła moja rozmowa z Profesorem. Kiedy wychodziłem z jego gabinetu (był już wtedy na emeryturze), bardzo mu dziękowałem, a on: „Proszę mi nie dziękować, to jest mój obowiązek”. Mówię: „Nie byłem ani pańskim uczniem, ani studentem. Jestem z innej uczelni”. On na to: „Jestem polskim profesorem. Proszę to zapamiętać”. Powiedział to na wpół żartobliwie, ale szczerze, reprezentował bowiem ten typ profesorów, który przechodzi już do historii. Kilka miesięcy po spotkaniu z Pigioniem mój promotor, który po zakończeniu przeze mnie studiów nie zgłaszał pod moim adresem żadnych propozycji zatrudnienia, pyta: „Panie kolego, czy zgodzi się pan przyjąć ofertę pracy u mnie?” Już wiedziałem, że się zgodzę, odpowiedziałem jednak: „Panie profesorze, ja to muszę przemyśleć”. 1 października 1959 r. zostałem zatrudniony tutaj, w WSP. Po pół roku dowiedziałem się, co skłoniło mojego promotora do tej decyzji. Otóż przypadkowo spotkał go w Bibliotece Jagiellońskiej prof. Pigoń, do którego miał ogromny szacunek, i powiedział o mnie. Kto w końcu zdecydował o tym, że zostałem zatrudniony? Władysław Orkan, który idzie za mną od piątej klasy, przez liceum, przez pracę magisterską, przez Pigionia. Ja się staram spłacać Orkanowi dług, organizując sesje naukowe na jego temat. Ostatnią książkę o Orkanie, zbiorową, wydałem w 2015 r. Uważam, że u Orkana mam dług nie do spłacenia, bo umożliwił mi wykonywanie takiego zawodu, który daje przyjemność i satysfakcję.

**Mówił Pan o profesorze Janie Nowakowskim. Jakich innych profesorów spotkał Pan podczas studiów? Jak ich Pan wspomina?**

Może opowiem o kilku profesorach, których Państwo już nie mieliście okazji poznać. Profesor Nowakowski zajmował się przede wszystkim Młodą Polską, a zwłaszcza twórczością Stanisława Wyspiańskiego. Jeżeli będziecie czytać wydania niektórych dramatów Wyspiańskiego z Biblioteki Narodowej, to znajdziecie tam jego wstępy, m.in. do *Warszawianki*. Drugim ważnym dla mnie profesorem był Wincenty Danek. Był historykiem literatury, rektorem tej Uczelni przez 16 lat, a więc bardzo długo. Specjalizował się w twórczości Józefa Ignacego Kraszewskiego. Odegrał ogromną rolę w wydawaniu jego pism, napisał też kilka książek monograficznych o tym pisarzu. Kolejną ciekawą postacią był prof. Stanisław Sierotwiński, który prowadził zajęcia z tzw. nauk pomocniczych. Zajmował się też kulturą literacką, zwłaszcza życiem literackim w okupowanym Krakowie. Był autorem pierwszego w Polsce po drugiej wojnie światowej

słownika terminów literackich. Profesor Sierotwiński to barwna postać. Na wykładzie o *Weselu* Wyspiańskiego mówił: „Proszę państwa, czy wy wiecie, skąd się wzięły postaci alegoryczne w *Weselu*? Wyspiański stanął pijany w drzwiach izby weselnej i wszystko to mu się zwidywało. Pomieszał realia wesela z tym, co się roilo w jego głowie”. Był to szok dla studentów. Przecież Wyspiański był świętością, a profesor takie rzeczy opowiada! Wspomniałem też o prof. Stanisławie Jodłowskim, który dla nas był wielkim autorytetem jako twórca słownika ortograficznego, wraz z prof. Witoldem Taszyckim. Napisali ten słownik w 1936 r. Wtedy przeprowadzono gruntowną reformę ortografii polskiej. Profesor Jodłowski był sympatyczny, pełnił funkcję prorektora i ciągle się spóźniał na zajęcia, minimum 15 minut. Ponieważ wiedzieliśmy, że jego słabością jest wnuk Przemek, aby jeszcze opóźnić wykład, zadawaliśmy mu pytania dotyczące wnuka, np.: „Jakie Przemek dziś nowe słowo wypowiedział?” Profesor Jodłowski opowiadał nam o Przemku. Mijało 15 minut, ale profesor zdążył w ciągu 70 minut zrobić znakomity wykład z gramatyki opisowej, a pięć minut przed czasem musiał wyjść, bo się śpieszył na jakieś spotkanie urzędowe. Kolejną bardzo wyrazistą postacią był prof. Tadeusz Milewski. Mieliśmy wówczas jeszcze część profesorów z UJ, Uczelnia nie była kadrowo samodzielna. Proszę pamiętać, że gdy zacząłem studiować, miała ona dopiero osiem lat. W związku z tym językoznawstwo indoeuropejskie wykładał prof. Milewski, jeden z najwybitniejszych językoznawców polskich. Był postacią niezwykle barwną, ponieważ z góry zakładał, że nigdy nie pojmemy językoznawstwa indoeuropejskiego. Kiedyś biegł po schodach, spotkał asystentkę. Mówi: „Pani Mario jestem kompletnie nieprzygotowany do wykładu na czwartym roku polonistyki”. „Pan, taki uczone?” „Niech mi pani opowie szybko trzy kawały”. Musiał opowiedzieć trzy kawały, bo inaczej nie dopuszczaliśmy go do głosu. Opowiedział trzy kawały, robiła się cisza. Zaczynał się znakomity wykład z indoeuropeistyki... Zdarzało mu się opowiadać takie kawały, za które się szło siedzieć, czyli polityczne.

**W latach 1975–1981 pełnił Pan Profesora funkcję rektora WSP. Jak Pan wspomina ten okres? Co się udało zmienić na Uczelni?**

W 1971 r. zostałem najmłodszym prorektorem w Polsce (miałem 34 lata). Trzy lata później, w roku 1975, wybrano mnie na rektora i byłem nim przez dwie kadencje. To były czasy Gierka, który chętnie widział młodych ludzi na stanowiskach. Był to okres pewnego luzu. Po raz pierwszy dostałem 150 dolarów (na osobę) na wyjazd do Włoch i do Hiszpanii. Jechaliśmy z dzieckiem i mieliśmy 450 dolarów. Pokonywaliśmy odległość po 10 tys. kilometrów, wioząc

w bagażniku wszystko, łącznie z ziemniakami. Jak opowiadam o tym moim wnukom, to się śmieją. Żeby zobaczyć różne ciekawe rzeczy, trzeba było załadować olej do dwutaktu i różne inne dziwne bagaże. W takich czasach zostałem rektorem. Jak powiedziałem, miałem trzydzieści parę lat. Dziś mój syn ma 50 lat, a mnie się wydaje, że jest niedojrzały. Mimo młodego wieku spotkałem się na Uczelni z ogromnym szacunkiem ze strony starszych profesorów. Była wśród nich prof. Anna Zofia Krygowska, delegatka środowiska na konferencję UNESCO. Gdy zostałem rektorem, odbywałem z nią różne rozmowy. Czułem się malutki, gdy ona mówiła: „Panie kolego, niech pan wie, że jako rektor reprezentuje pan nas wszystkich”. Ze strony starszych profesorów otrzymywałem wspaniałe wsparcie, a przede wszystkim dobre rady. Zawsze ich uważnie słuchałem.

Interesuje Panią, co wtedy działo się na Uczelni? Po pierwsze, uruchomiliśmy trzy nowe kierunki studiów: filologię romańską, wychowanie plastyczne i techniczne. Ten ostatni był co prawda tylko przetworzeniem kierunków, które istniały wcześniej – taka specjalność mechaniczna i elektryczna, w ramach której kształciliśmy nauczycieli szkół zawodowych, przygotowywaliśmy także nauczycieli robót ręcznych – tak to się wtedy nazywało. Ciekawa była sytuacja z romanistyką. Utworzyć nowy kierunek studiów na Uczelni było bardzo trudno. Każdą naszą propozycję czujnie obserwował UJ, a decyzję podejmował minister. Dziś wystarczy decyzja Senatu i Rektora, wtedy wymagana była zgoda ministra. Dość długo trwały moje zabiegi, by uruchomić u nas filologię romańską. Chciałem też zorganizować filologię angielską, ale UJ całkowicie rzecz zablokował. W przypadku filologii romańskiej pomógł mi przypadek. W roku akademickim 1976/1977 byłem w Brukseli na targach oświatowych, gdzie spotkałem pracownika konsulatu polskiego, który spytał, jakie mam plany. Odpowiedziałem, że chciałbym uruchomić filologię romańską, ale Uniwersytet się nie zgadza. On do mnie wtedy mówi tak: „Wiesz, może wykorzystalibyśmy konflikty językowe w Belgii między Flamandami a Walonami, między językiem niderlandzkim a językiem francuskim. Stworzyłbyś filologię romańską ze specjalnością: cywilizacja belgijska. Spróbuję cię skontaktować z Komisją Kultury Francuskiej i z Wolnym Uniwersytetem w Brukseli. Otrzymasz pomoc kadrową i książki”. Mieliśmy zero książek, zero pracowników, poza kilkoma lektorami językowymi. Tych francuskojęzycznych Belgów przekonał, mówiąc, że w Polsce jest filologia flamandzka na Uniwersytecie Wrocławskim, a nie ma nigdzie w Polsce filologii romańskiej ze specjalnością: cywilizacja belgijska. Zainteresowali się tym! Przez lata dostawali od nich książki, przyjeżdżali tu

profesorowie z Wolnego Uniwersytetu. Dzięki temu mamy duży instytut neofilologiczny, gdzie poza romanistyką jest filologia angielska, niemiecka, rusycystyka, nawet filologia hiszpańska i włoska. Widzicie, jak ważne są w życiu czasem przypadki, w tym wypadku – moja rozmowa z panem z konsulatu. W ten sposób powstał nowy kierunek. Z wychowaniem plastycznym było podobnie. Przyjaźniłem się wtedy z Marianem Koniecznym, profesorem Akademii Sztuk Pięknych, wybitnym rzeźbiarzem. Był rektorem ASP i naciskano na niego, by kształcił swoich artystów w kierunku pedagogicznym, a oni nie wyrażali na to chęci. „Ty się tym zajmij” – powiedział Konieczny. Wobec tego zawarliśmy umowę, że przez pierwsze dwa lata będziemy realizować te kierunki wspólnie – ASP i WSP. Okazało się, że ta współpraca niezupełnie nam wychodzi. Pewnego dnia zdecydowano, że kierunek zostanie tylko u nas. A dzisiaj mamy solidny Wydział Sztuki. Pracują na nim profesorowie, których jeszcze zatrudniałem jako absolwentów ASP.

### **Często opisuje Pan swoje podróże do Wiednia, Austrii i Australii. Dlaczego?**

W Wiedniu spędziłem cztery lata i cztery miesiące jako dyrektor Instytutu Polskiego. Pisywałem wtedy do „Życia Literackiego” w Krakowie felietony pod wspólnym tytułem „Pocztówki z Wiednia”. Teksty te ukazywały się pod pseudonimem Andrzej Turek. Austrię wspominam z ogromnym sentymentem. Pomyślcie, w drugiej połowie lat osiemdziesiątych spędziłem niemal cztery i pół roku w stolicy Austrii! Wspominam ów czas serdecznie z kilku powodów. Między innymi dlatego, że przeszedłem tam ze stanowiska Ministra Oświaty i Wychowania. Pięć koszmarnych, trudnych lat, kto wie, czy nie najgorszych w moim życiu. Dla mnie osobiście to był okres permanentnej degradacji osobowości. Piastowałem stanowisko państwowe, ja, humanista, nie działacz partyjny z jakiegoś komitetu wojewódzkiego. Praktyk, do niedawna rektor uczelni kształcącej nauczycieli. Na szczęście, niezależnie od wszystkich obowiązujących wtedy ograniczeń, miałem spore możliwości forsowania niektórych swoich pomysłów i zapobiegania pewnym anomaliiom w naszej oświacie. Najtrudniej mi było w stanie wojennym. Proszę sobie wyobrazić, pewnego dnia przyszło do mnie pięcioro rodziców ze skargą, że ich dzieci, zatrzymane podczas jakiejś demonstracji na którymś z mostów w Warszawie, nie zostały przez komisarzy wojskowych dopuszczone do matury. Wezwałem swoich prawników na konsultacje. W wyniku tych konsultacji dosłownie pięć minut przed rozpoczęciem matury wprowadziłem tych pięciu uczniów na salę egzaminacyjną. Do dziś nie dowiedziałem się, jaki

był ich los. Oczywiście miałem z tego powodu duże i długotrwałe nieprzyjemności, bo sprzeciwiłem się w stanie wojennym komisarzowi wojskowemu... Nie o tym jednak chciałem mówić. Chciałem powiedzieć, dlaczego tak dobrze wspominam Wiedeń. W warszawskim czasie cokolwiek bym zrobił, to było złe – złe w optyce Prezesa Rady Ministrów, złe w optyce Komitetu Centralnego, złe nawet w optyce związków zawodowych. Dlatego pobyt w Austrii był dla mnie jak sanatorium, kurort. Odnoszono się do mnie z szacunkiem. Przyjeżdżam po pięciu latach magła i nagle do mnie mówią: „panie profesorze”, „panie ministrze”, „panie rektorze”. W Austrii jest kult tytułu. Tytułomania ta jest żywa do dziś, przyjrzyjcie się choćby austriackim wizytówkom... Te wszystkie moje tytuły były przepustką do bardzo dobrych kontaktów.

Drugim krajem, który zrobił na mnie ogromne wrażenie, była Australia. Spędziłem tam sześć tygodni, a stało się tak za sprawą przypadku. Otóż – jako dyrektor Instytutu Filologii Polskiej – siedzę tutaj na piątym piętrze, przychodzi pani i przedstawia mi się jako Marianna Łacek. „Jestem absolwentką tej szkoły, skończyłam geografię”. Zacząłem z nią rozmawiać; okazało się, że jest w Sydney nauczycielką języka angielskiego. „Jak pani uczy języka angielskiego po geografii?” – pytam. Ona mówi, że w kuratorium w Sydney zauważyli w jej indeksie, że miała lektorat z angielskiego. Zaproponowała, że przetłumaczy utwory Piotra Skrzyneckiego (czy Petera Skrzyneckiego) z Sydney, którego ojczym był Polakiem. Przetłumaczyła te teksty, wydrukowaliśmy je w Wydawnictwie Edukacyjnym. Pojechałem do Sydney, do Australii, promować tę książkę. Ten ład zrobił na mnie ogromne wrażenie. To niesamowity kraj, wielkości Europy, a ludności ma o połowę mniej niż Polska (wtedy około 18 milionów). W środku czerwona pustynia, a dookoła morze.

**Kiedy ostatecznie zakończył Pan pracę na Uczelni? Kiedy odbyły się Pańskie ostatnie zajęcia ze studentami? Czy po zakończeniu pracy na Uczelni przestał Pan pisać? Od 20 lat pisze Pan książkę, której wciąż nie ukończył. O czym ona jest?**

W 2007 r. formalnie powinienem przejść na emeryturę, ale pracowałem do roku 2008, a potem przez cztery lata jeszcze wykładałem na Wydziale Dziennikarstwa w Wyższej Szkole im. Józefa Dietla w Krakowie, potem zrezygnowałem. Wróciłem na macierzystą Uczelnię i podjąłem zajęcia na kierunku: kulturoznawstwo i wiedza o mediach w moim dawnym Instytucie, gdzie prowadziłem wykłady i ćwiczenia z kultury współczesnej, nawet miałem tam seminaria magisterskie. Ostatnie zajęcia odbyłem w maju 2014 r. Ciągłe pracuję. Wydałem cztery książki

zbiorowe, m.in. pracę *Sąddeckczyzna w historiografii, literaturze i w mediach*, książki o Władysławie Orkanie, o Jerzym Harasymowiczu, oparte na materiałach z konferencji, a także o prasie sądeckiej. Na bieżąco uprawiam krytykę literacką, piszę do kwartalnika literackiego „Wyspa”, który ukazuje się w Warszawie, do czasopisma literacko-artystycznego „Hybryda”, czasami do miesięcznika „Kraków” i do internetowej „Gazety Kulturalnej”.

Rzeczywiście, od 20 lat piszę książkę, której nie mogę skończyć. Nie wiem, dlaczego, może to jest wynik mojego lenistwa. Ostatnio prowadzono ze mną rozmowy, które miały mnie zdopingować do zamknięcia tej pracy, bo trzy czwarte już mam gotowe. To książka o noblistach. Nie opowiada ona jednak o Miłoszu ani o Szymborskiej, Reymencie czy Sienkiewiczu, ale ma pokazać mechanizmy przyznawania Nagrody Nobla. Oczywiście najwięcej materiałów mam na temat Sienkiewicza i Reymonta. Te archiwalne materiały, do których miałem dostęp, mają więcej niż 50 lat, a więc są to teczki Sienkiewicza, Reymonta, Marii Dąbrowskiej (też była kandydatką), Kazimierza Michałowskiego, Leopolda Staffa. Mam wyrzuty sumienia. Dla uspokojenia napisałem ostatnio esej o poezji Józefa Barana, żeby nie robić tego, co powinienem zrobić przede wszystkim.

**Bardzo dziękujemy Panu za tę niezwykłą, interesującą opowieść.**

*Opracowała Ewa Bednarska-Gryniewicz*